

Turystyka w pierwszych latach PRL

Do Zakopanego!

Sebastian LIGARSKI – pracownik OBBH IPN w Szczecinie

W wyniku przyłączenia do Polski ziem zachodnich i północnych kraj zyskał kilkanaście tysięcy dobrze wyposażonych, zadbanych i przygotowanych na przyjęcie turystów baz wypoczynkowych. Większość z nich była rozmieszczona w Sudetach.

Jak twierdził Paweł Sowiński, turystyka do lat 1945–1948 nie była kontrolowana przez władze, ale dodam, że dość skutecznie przez nie uniemożliwiana. Składało się na ten fakt kilka czynników, spośród których najważniejsze było położenie najbardziej atrakcyjnych miejscowości tuż przy granicy lub w bezpośredniej jej bliskości. W związku z tym „część terenów została wyłączonego dla ruchu turystycznego, a w pozostałych wprowadzono bardzo surowe przepisy dotyczące poruszania się. Bardziej tolerancyjnie patrzono na grupowe wycieczki z przewodnikiem, surowiej oceniano turystykę indywidualną, jako że jeszcze często zdarzały się wypadki przekraczania granicy pod pozorem uprawiania turystyki. Wycieczki miały obowiązek zgłaszania się w placówkach Wojsk Ochrony Pogranicza i uzyskiwały zezwolenie wejścia na teren przygraniczny określonym szlakiem. Przewodnik prowadzący grupę wycieczkową obowiązywał był posiadać przepustkę uprawniającą go do prowadzenia turystów. Wycieczki musiały przed zapadnięciem zmroku opuścić teren strefy przygranicznej. Turystom indywidualnym wydawano przepustkę, zabierając z reguły dowód osobisty. W określonych rejonach niedopuszczalne było uprawianie turystyki indywidualnej, na przykład w okolicach Przesieki. Natomiast nie napotykało się żadnych przeszkód w rejonie Karpacza i Szklarskiej Poręby” (P. Sowiński, *Wakacje w Polsce Ludowej*).

Pomimo przytoczonych wyżej utrudnień ludzie jednak podejmowali wysiłki zmierzające do aktywnego wypoczynku. Chęć pieszych wędrówek, odcięcia się od codziennych trosk była tak duża, że uciekano się do pomocy prasy w znalezieniu np. odpowiedniego partnera do takich wypraw. Ogłoszenie drobne z „Wiadomości Świdnickich” przynosiło kilka ciekawych, wartych zasygnalizowania informacji: „Szukam towarzysza dalszych wycieczek górskich, miłego powierzchownością, wykształconego i obytego towarzysko,

znajomość języka francuskiego wymagana”.

Chęć znalezienia partnera na wspólne wyprawy była zapewne podyktowana nie tylko potrzebą wspólnej kontemplacji krajobrazu i milej rozmowy podczas tej formy wypoczynku, na co wskazywała znajomość odpowiedniego języka oraz wykształcenie przyszłego towarzysza, ale niosła za sobą uтилитарny cel zabezpieczenia się przed ewentualnym napadem, ograbieniem lub innym mało przyjemnym zdarzeniem, co było bardzo prawdopodobne wobec wielokrotnie wspomnianego fatalnego stanu bezpieczeństwa.

Organizacja turystyki

w pierwszych latach

po wojnie była

dość chaotyczna

i w większości bazowała

na doświadczeniach

przedwojennych.

Należy nadmienić, że niewiele było ogłoszeń odnoszących się do wędrówek nadmorskich. W 1948 r. oceniano, że w górach spędziło urlop ponad 250 tys. klientów Funduszu Wczasów Pracowniczych. Na resztę kraju przypadło zaledwie 25 tys. osób wypoczywających na nizinach i mniej więcej tyle samo na Wybrzeżu. Przykładem zachęty do wyjazdów nad morze było ogłoszenie z „Zycia Warszawy”, gdzie oferowano podziwianie we wrześniu polskiej złotej jesieni w jednym z pensjonatów w Uście.

W prasie informowano nie tylko o tym, gdzie dany obiekt się znajduje, ale również o gruntownym odnowieniu budynków, remoncie, centralnym ogrzewaniu, ciepłej wodzie, komfortowych łazienkach oraz tarasach, balkonach: „ZAKOPANE,

pensjonat »Borynia«, ul. Grunwaldzka, poleca słoneczne pokoje z bieżącą wodą i centralnym ogrzewaniem. Pianino, radio, kuchnia pierwszorzędna. Ceny umiarkowane”.

Zachęcano do przyjazdu z dziećmi poprzez dostosowanie dla nich jadłospisu: „PENSJONAT I kategorii »Riwiera« w Rabce-Zdrój Nowy Świat, centralnie położony, idealne miejsce, uzdrowskowie. Specjalna kuchnia dla dzieci, centralne ogrzewanie, ciepła woda, od 800 zł, przy rodzinach zniżki, przyjmuje zamówienia na sezon zimowy i święta”. Dzieci znajdowały się pod specjalną opieką: „RABKA »Pałacyk Babuni« na wysokim poziomie prowadzony pensjonat dla dzieci, opieka lekarska – Ceny przystępne”.

Podawano liczbę pokoi w danym pensjonacie, informowano o wyposażeniu, o garażach czy innych udogodnieniach: „ZAKOPANE ul. Grunwaldzka 1793 (droga do Białego) pensjonat I kategorii »LIPOWY DWÓR« poleca pokoje z utrzymaniem. Kuchnia smaczna i obfita – Woda bieżąca ciepła i zimna – Łazienki – garaże – Ceny reklamowe tel. 10–45. W lecie – kort tenisowy”.

A jak spędzano urlopy? Zadowoleni z warunków byli na ogół robotnicy po raz pierwszy przyjeżdżający na wakacje. To odczucie było wynikiem zauroczenia samym wyjazdem, a często również przebywaniem w lepszych warunkach



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

niż w miejscu zamieszkania oraz programem zorganizowanego wypoczynku, np. dużą liczbą imprez świetlicowych, gier, zabaw i innych rozrywek.

Kto wyjeżdżał na wycieczki czy wakacje? W jednym z ogłoszeń pisano: „WYCIECZKI URZĘDNIKÓW! Wobec szeroko zakrojonej akcji organizowania 2–3-dniowych wycieczek do Zakopanego przez liczne instytucje, zakłady etc. odnośne naczelnice dyrekcje proszone są uprzejmie kontaktować się z zarządem »SAS« ZAKOPANE tel. 1273, który bezinteresownie wszelkich udziela informacji jak również dla uzgodnienia kolejności”. W inseratach wymieniano liczne atrakcje czekające na przyszłych uczestników wycieczek, jak wjazd kolejką linową na Kasprowy Wierch (z podaniem nawet wysokości szczytu celem orientacji – 1980 m!) oraz kolejką terenową na Gubałówkę: „ZAKOPANE. Wycieczki z zreszeń w ramach UNRRA, załóg fabrycznych etc. do Zakopanego z wyjazdem kolejką linową na Kasprowy Wierch (1980 m) i kolejką terenową na Gubałówkę lokuje

▲ W latach powojennych preferowaną, ja byśmy dziś powiedzieli, destynacją były góry. Dużą atrakcją był wjazd kolejką linową na Kasprowy Wierch.

była także do młodzieży: „Rabka. Pensjonat »Ol-ha« przyjmuje młodzież szkolną. Zapewniona opieka zdrowotna, wychowanie, języki; Przyjmie młodzież licealną na wspólny wyjazd”.

Organizacja turystyki w pierwszych latach po wojnie była dość chaotyczna i w większości bazowała na doświadczeniach przedwojennych. Wielkie przedwojenne kurorty, tj. Zakopane czy Sopot nadal miały kumulować największy ruch turystyczny. W 1946 r. wrocławski „Pionier” pisał o Zakopanem, że nawet zła propaganda nie zaszkodziła mu w napływie turystów, szczególnie tych spod znaku wczasów pracowniczych. Na ten właśnie sposób spędzania urlopów położono największy nacisk po wojnie.

Ale nie wszyscy chcieli i mogli jeździć. Pewna robotnica ze Śląska tłumaczyła, dlaczego pracownicy



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

▲ Obóz harcerski na Podhalu. Takie wyjazdy łączyły funkcje rekreacyjne i wychowawcze.

◀ Zadowoleni z wyjazdu na wczasy byli szczególnie ci, którzy przebywali w lepszych warunkach niż w miejscu zamieszkania.

Zarząd Pensjonatu »SAS« przy dworcu kolejowym w Zakopanem. Wskazane wysłanie delegata-kwatermistrza wycieczki na pół dnia naprzód”.

O tym, jak wyglądały takie wycieczki, pisał jeden z robotników z Sosnowca: „Byliśmy w górach zaraz po przyjeździe [do ośrodka wczasowego]. Chcieliśmy iść na Kasprowy Wierch, ale w tamtą stronę pojechaliśmy kolejką, z powrotem pieszo, to myśleliśmy, że żywi nie dojdziemy. Ja byłem źle ubrany, bo szedłem w półbutach – buty obtarły mi nogę, zelówkę oberwałem i musiałem wydać na reperację półtora tysiąca. Zgrzałem się, bo wziąłem marynarkę [...]”. Inseraty wskazywały także na organizatorów wycieczek lub instytucje sprawcze: „Wycieczki z zreszeń w ramach UNRRA załóg fabrycznych etc.”. Oferta kierowana

fizyczni nie jeździli na wczasy: „Mój ojciec, hutnik, też nie wyjeżdża, bo nie umie jeść z innymi. Nie ma tego objęcia. Może z matką by wyjechał. Wczasy są dobre, ale dla młodych. Nasi górnicy i hutnicy wyjeżdżają tylko do Szczyrku, Ustronia lub Wisły. Dalej nie. Powiadają, że w Krynicy sama arystokracja siedzi. Wszystko tam drogie. Nie potrafią tańczyć. Brak im odpowiedniego ubrania. Pizama kosztuje, trzeba mieć walizkę”. Inną z przyczyn było to, że wczasy pracownicze były nowością i korzystanie z nich nie było jeszcze rozpowszechnione wśród robotników. Mankamentem, często przywoływanym, był fakt, że z tej formy wypoczynku mogli korzystać jedynie pracownicy danych zakładów, bez rodzin, co było w wielu przypadkach powodem do rezygnacji z wyjazdów.



Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

W poszukiwaniu ukrytych skarbów na Dolnym Śląsku

Tropiciele

Sebastian LIGARSKI

Była połowa burzliwego 1981 r. W kraju trwały zwarcie pomiędzy władzami a „Solidarnością”. W zaciszach resortów siłowych trwały zakrojone na szeroką skalę przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego, bo przecież „kontrewolucja” siłą dążyła do przejęcia władzy. Towarzysze radzieccy słali alarmistyczne listy i grozili, a Erich Honecker za wszelką cenę chronił swoje państwo przed importem idei „Solidarności” do NRD. Mimo to na Dolnym Śląsku kontrwywiad wojskowy i cywilny szukały mitycznych skarbów III Rzeszy. Władzy potrzebny był sukces. Gdziekolwiek, byle szybko.

Przygotowania do eksploracji Dolnego Śląska przez resorty siłowe trwały od października 1980 r. Przeprowadzone rekonesanse badawcze w terenie i archiwach dawały nadzieję na sukces. Nic dziwnego zatem, że 11 czerwca 1981 r. gen. Wojciech Barański, szef Głównego Zarządu Szkolenia Bojowego WP oraz gen. Czesław Kiszczak, szef Wojskowej Służby Wewnętrznej, wydali zarządzenie, zgodnie z którym powołali do życia grupę operacyjną mającą odnaleźć ukryte przez Niemców w ostatnich tygodniach przed zakończeniem II wojny światowej walory, tzw. złoto Wrocławia. Miał to być skarbiec Banku III Rzeszy, który został wywieziony z miasta w ogromnym transporcie i ukryty w jednej ze sztolni na terenie Karkonoszy.

Poszukiwaniem tych walorów od lat zajmował się major wrocławskiego Wydziału II SB (czyli kontrwywiadu) Stanisław Siorek. To on był głównym inspiratorem inicjowanych przez wojsko poszukiwań. Dzięki swojej funkcji (zastępcy naczelnika, potem p.o. naczelnika) Wydziału II udało mu się zainteresować sprawą struktury wojskowe. Rozpalone głowy generałów już widziały wozy wypełnione złotem, które składają u stóp swojego guru Wojciecha Jaruzelskiego. Sugestywne informacje przekazywane przez Siorka wsparte relacjami rzekomych naocznych świadków, podlane sosem wszędobylskich szpiegów rodem z RFN, którzy wracali na te ziemie jako strażnicy owego potężnego skarbu, robiły wrażenie na wojskowych. Podparte naukowymi ekspertyzami o istnieniu anomalii geologicznych wskazującymi, że owo złoto może rzeczywiście być ukryte we wskazywanych przez Siorka miejscach (głównie na terenie potężnego opactwa cysterskiego w Lubiążu) spowodowało, że generalowie z równym nateżeniem tępil ostrze „kontrewolucji”, co szukali skarbów III Rzeszy.

Na czele grupy operacyjnej stanął mjr Jerzy Liwski z Oddziału III Zarządu IV SWSW, któremu pomagać mieli oficerowie z in-



nym jednostek WSW, dziesięciu żołnierzy służby zasadniczej oraz samochody do przemieszczania się po Karkonoszach. Początkowo wytypowano wstępnie sześć miejsc. Później lista rozrosła się do 11 miejsc: Zamku Grodno, Góry Chojnik, Państwowego Domu Pomocy Społecznej w Miłkowie, tzw. domku myśliwskiego koło schroniska „Samotnia” w masywie Śnieżnika, Huty „Julia” koło Szklarskiej Poręby, góry Ślęży, Wielisławki, Lubiąża, tunelu w rejonie Stanisłowa, Miedzianki oraz zamku w Karpnikach. Rozpoczęto współpracę z majorem Siorkiem oraz odpowiednimi pionierami SB z Jeleniej Góry, Wałbrzycha i Wrocławia. Wszystkie informacje uzyskiwano drogą operacyjną od mieszkańców, którzy opowiadali o tajemniczych transportach ze skrzyniami, które następnie w nieznanych okolicznościach były zamurowywane, zasypywane czy zawałone po uprzednim wysadzeniu w powietrze górotworu. Do tych wszystkich tajemniczych zjawisk dochodziły zgony naocznych świadków tych robót, ludzi uznawanych za tzw. strażników pamięci oraz najazdy tzw. turystów z RFN na te miejscowości, którzy pod pozorem wycieczek przeczesywali sztolnie, tunele i inne zakamarki.

Na liście do penetracji pojawiły się Góry Sowie ze sztolniami w kompleksie „Reise” (według



▲ Opactwo cystersów w Lubiążu, w którym odnaleziono skarb.

◀ Major Stanisław Siorek, główny inspirator poszukiwań tzw. złota Wrocławia

Siorka miejsce stałej penetracji wywiadu radzieckiego „nawet przy użyciu jednostek komandosów”) oraz wspomniany, kluczowy dla tej opowieści, pocysterski klasztor w Lubiążu. Mjr Siorek wiadomości czerpał od Herberta Klozego, weterynarza, który miał na własne oczy widzieć spakowane i gotowe do wysyłki złoto oraz miał wiedzę na temat jego ukrycia. Siorek bezgranicznie wierzył w te opowieści, co więcej, dopowiadał do nich swoje przemyślenia, coraz bardziej konfabulował i eksplorował wskazywane przez Klozego miejsca (*de facto*, jak ustalili Jacek M. Kowalski i J. Robert Kudelski, autorzy książki *Złoto generałów. Służby specjalne na tropie skarbów III Rzeszy*, brał on udział tylko w objęzdzie ewentualnych miejsc ukrycia precjozów). Jego oczkiem w główce był Lubiąż. Nabytych od swojego informatora wieści Siorek strzegł zazdrośnie i dopiero interwencja szefa WSW Śląskiego Okręgu Wojskowego u zastępcy ds. SB we Wrocławiu (płk. Czesława Błażejewskiego) pozwoliła Liwskiemu uzyskać dostęp do dokumentów opisanych przez esbeckiego poszukiwacza skarbów. Mjr Liwski napisał: „odnoszę wrażenie, że nie ze wszystkimi materiałami pozwolił mi się mjr Siorek zapoznać. Materiały znajdujące się u niego nie są nigdzie zewidencjonowane [sic! – SL] a niektóre z nich to odpisy dawano już zniszczonych dokumentów. Trudno więc było wyegzekwować od niego wszystko”. Liwski wpadł więc na pomysł, aby Siorka dokooptować do ekipy, a tym samym dowartościować go i wydobyc od niego wszystkie informacje.

W czasie stanu wojennego prace ruszyły. Ekipy wojskowe eksplorowały wskazane miejsca, angażując do tych prac sprzęt będący na wyposażeniu wojska oraz korzystając z pomocy szefa Wojewódzkiego Ośrodka Archeologiczno-Konser-

▶ Notatka służbowa gen. Edwarda Poradki adresowana do ministra obrony narodowej gen. Wojciecha Jaruzelskiego z propozycją zagospodarowania środków ze sprzedaży skarbu. Gen. Jaruzelski zaakceptował propozycję 23 lutego 1983 r.

◀ Zamek Grodno był jednym z miejsc wytypowanych do poszukiwania skarbów III Rzeszy.

watowskiego Tadeusza Kaletyna, uznanego archeologa, historyka sztuki. Do prac zaangażowano również radiestetę Karola Tomalę.

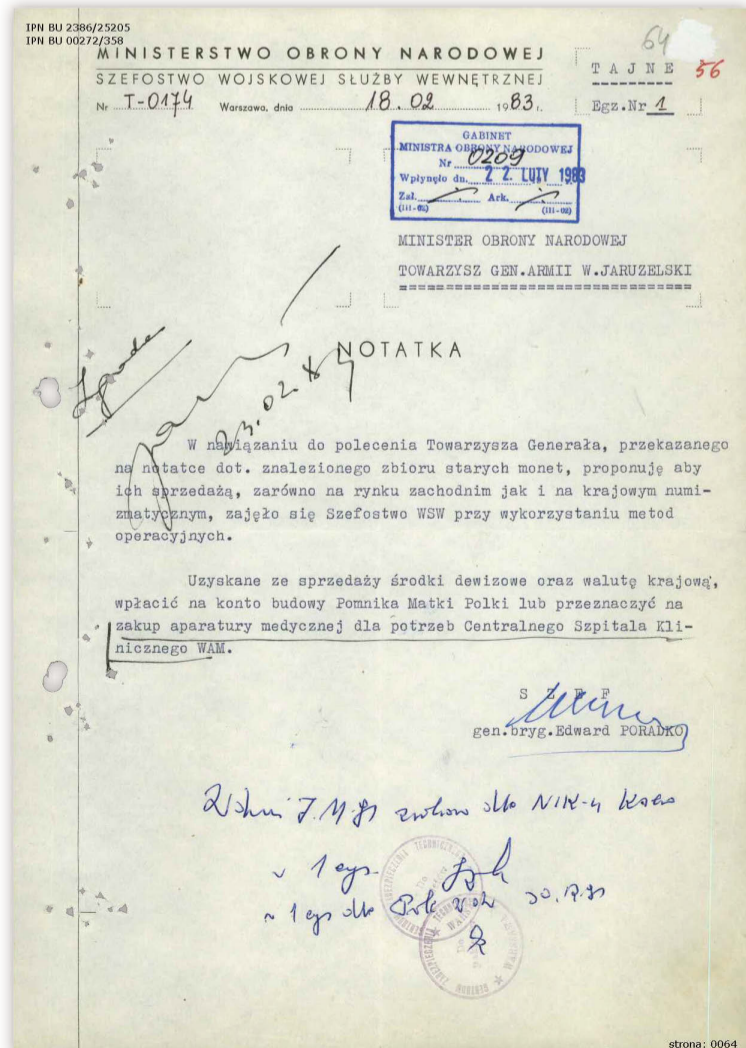
Prace w Lubiążu rozpoczęto w połowie listopada 1982 r. Wojskiem dowodził ppłk Bogusław Chrobot. Przeprowadzono prace z użyciem ciężkiego sprzętu i trafiono na skarb. W grudniu 1982 r. wydobyto z ziemi pojemnik zawierający 1354 monety, w tym 1290 monet srebrnych o wadze 5,82 kg oraz 64 monety złote o wadze 0,227 kg. Według raportu szefa WSW gen. Eugeniusza Poradki złożonego Wojciechowi Jaruzelskiemu 27 stycznia 1983 r. miały one wartość numizmatyczną i handlową, natomiast ich wartość muzealna była niewielka.

Kontrwywiad wojskowy rzucił się więc do katalogów numizmatycznych, powołał specjalną komisję i rozpoczął wycenianie skarbu. Według wspomnianej komisji skarb odkryty przez wojsko zawierał głównie monety z państw środkowoeuropejskich z lat 1590–1740 (większość z przełomu XVII i XVIII w.). Komisja potwierdziła, że miały one dużą wartość handlową i numizmatyczną, natomiast ze względu na ich popularność, jednorodność oraz pochodzenie niewielką wartość muzealną. W tym ostatnim przypadku ustalono, że tylko 89 monet srebrnych można

było uznać za historycznie wartościowe. Ciekawe było uzasadnienie, gdyż, jak stwierdzono, były to monety świadczące o polskości tych ziem.

Korzystając z polskich i zagranicznych katalogów aukcyjnych ustalono, że wartość skarbu wynosiła 3820–4600 tys. złotych. Uważano, że przy korzystnych warunkach udałoby się uzyskać cenę o 20 proc. wyższą. Ze względu na późniejsze losy skarbu warto tę informację zapamiętać. Wartość w dolarach określono na 61 393. W tym przypadku uważano, że ze względu na stan zachowania monet oraz wahania na rynku mogła ona ulec obniżeniu. Generał Poradka sugerował, aby monety pochodzące z Polski przekazać Muzeum Narodowemu we Wrocławiu. Monety najlepiej zachowane przeznaczono do sprzedaży na rynku zachodnim, zaś resztę do rozprowadzenia na krajowym rynku numizmatycznym.

Generał Jaruzelski w odręcznych dekreacjach zgodził się z zaproponowanym scenariuszem, zastanawiając się, kto ma sprzedać monety na rynku zachodnim oraz komu przekazać uzyskane ze sprzedaży środki. Gen. Poradka uznał, że środki ze sprzedaży monet powinny trafić na konto budowy pomnika Matki Polki w Łodzi lub na zakup sprzętu medycznego dla potrzeb Centralnego Szpitala Klinicznego



26 listopada 1946 r. pod Przesieką

Tajemnicza katastrofa

Sebastian LIGARSKI

Nie ulega wątpliwości, że ucieczki z Rzeczypospolitej w latach 1945–1948 miały charakter masowy, a ich podłożem była sytuacja polityczna i ekonomiczna w kraju. Według badań polskich historyków, w wyżej wymienionych latach uciekło z kraju około 100 tys. Polaków.

Liczba ta z pewnością nie jest całkowita, gdyż należałoby do niej doliczyć emigrujących z Polski Żydów oraz autochtonów. Wspomnę, że z Polski uciekali także repatrianci i reemigranci, którzy wrócili do kraju zwabieni komunistyczną propagandą budowy lepszego państwa, co było dla prosovietkich władz ogromnym problemem, gdyż stawało pod znakiem pytania ich legitymację do rządzenia Polską.

26 listopada 1946 r. w pobliżu Przesieki koło Jeleniej Góry rozbił się popularny samolot szkoleniowy Polikarpow PO-2 zwany kukuruźnikiem. Dziś w miejscu tragedii znajduje się grób i tabliczka upamiętniająca tragicznie zmarłych

funkcjonariusze UB stwierdzili brak samolotu typu kukuruźnik o numerze rejestracyjnym SP-AFW i rozpoczęli czynności mające na celu ustalenie sprawców porwania maszyny. Rozpoczęto przesłuchania świadków, które prowadzili oficer śledczy PUBP w Jeleniej Górze Zbigniew Sikora oraz starszy referent Referatu III PUBP Tadeusz Łabuda. W toku śledztwa zeznania złożyli między innymi Andrzej Czaplą (wartownik), Wawrzyniec Ferenc (wartownik), Tadeusz Studencki (instruktor pilotażu samolotowego), Feliks Jankowski (instruktor pilotażu samolotowego), Czesław Wiśniewski (WOP) oraz Bogusław Gwizd (leśniczy).



MATEJKOWICE — Widok na Mały Szyszak

Fot. Archiwum POLONA

wskazywałby na fakt rozbicia PO-2. Żołnierz powiadomił jednak przełożonych o zaistniałej sytuacji.

Na miejscu lustracji dokonał ppor. S. Woronecki oraz leśniczy B. Gwizd, który opisywał to zdarzenie: „Ilu ich było nie stwierdziliśmy dokładnie. Według wystających nóg przypuszczaliśmy, że było ich 4. Od zabitego jednego Woronecki wziął dokumenty, na nazwisko Burlawski. Nie było śladów, że samolot był ruszany”. Grupa operacyjna WOP i PUBP w składzie: komendant 1 odcinka WOP mjr Stelmach, kierownik 1 sekcji 1 odcinka WOP por. Świąder, strzelcy Czesław Wiśniewski i Marian Skrzypczak oraz por. Adam Nowak i starszy referent Referatu III Tadeusz Łabuda z PUBP w Jeleniej Górze, dokonała rewizji zwłok zabitych. Byli to: Władysław Burlawski, ur. 18 stycznia 1920 r. we Lwowie, przy którym znaleziono pistolet „belgijka” oraz 13 sztuk amunicji, portfel z dokumentami i gotówką; Franciszek Rybczyński, ur. 2 marca 1926 r. w Łucku; przy którym znaleziono pistolet „Vis”, 36 szt. amunicji, dokumenty oraz 2 portfele z gotówką w wysokości 1310 zł; Alfred Szymański, ps. „Felek”, ur. 28 czerwca 1926 r. w Poździejczach pow. przemyski.

◀ Widok Przesieki (ówcześnie Matejkowice) z okresu, kiedy rozegrały się w pobliżu opisywane wydarzenia

▼ Samolot Polikarpow PO-2 zwany kukuruźnikiem miał posłużyć braciom Szymańskim do ucieczki z kraju.

członków załogi: Alfreda i Rudolfa Szymańskich oraz dwóch niezidentyfikowanych osób. Niektórzy wysuwają przypuszczenia, że wraz z braćmi Szymańskimi śmierć poniosły dwie Niemki i dlatego brak o nich wzmianki na tabliczce zawieszanej na nagrobnym krzyżu. Jeden z autorów domniemywał: „sprawie nadano aspekt polityczno-spiegowski i to było przyczyną, że lotnicy zostali pochowani w leśnej głuszy, a nie na przykład w alei zasłużonych”. Dziś dostępne akta wytworzone przez funkcjonariuszy byłego aparatu bezpieczeństwa odkrywają przed nami kulisy tragedii czwórki młodych mężczyzn, którzy podjęli próbę wydostania się z Polski.

Feralnego dnia około godziny 3 w nocy pięciu mężczyzn dostało się na teren szkoły szybowcowej znajdującej się na terenie wsi Grunów (obecnie Jeżów Sudecki). Należała ona do Departamentu Lotnictwa Cywilnego Ministerstwa Komunikacji Rzeczypospolitej Polskiej. Dwaj odbywający służbę wartownicy zostali sterroryzowani bronią oraz pozbawieni w krótkim czasie karabinów. Po ich obezwładnieniu czterech mężczyzn udało się do hangaru, skąd wyprowadzili samolot PO-2. Jeden z nich wrócił do góry po latarkę karbidową, z którą zszedł ponownie na dół. Po około 20 minutach czworo z nich odleciało samolotem z lotniska w Grunowie. Pilnujący strażników mężczyzna opuścił lotnisko około godz. 4 nad ranem. Wobec braku możliwości telefonicznego połączenia (przecięte kable) wartownicy zmuszeni byli czekać (w tym czasie oswobodzili się z więzów) na kolegów z drugiej zmiany. O zaistniałym wypadku powiadomiono Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Jeleniej Górze. Po przybyciu na miejsce,



Fot. Addis Stock

Do 2 grudnia 1946 r. funkcjonariuszom bezpieki nie udało się ustalić, kto i dlaczego uprowadził samolot. W tym dniu dwóch pracowników leśnictwa Matejkowice (obecnie Przesieka) odnalazło szczątki samolotu oraz zwłoki dwóch osób. Leśniczy B. Gwizd poprzeczył jednego z Niemców powiadomił pierwszego zastępcę komendanta strażnicy nr 2 Wojsk Ochrony Pogranicza w Matejkowicach ppor. Stanisława Woroneckiego o znalezisku: „Proszę natychmiast z niemcem, który odda tę kartkę udać się do lasu. Rozbitą samolot 2 ludzi zabitych” – pisał naprędce leśniczy. W tym samym dniu żołnierz WOP zawiadomili PUBP w Jeleniej Górze o znalezionych szczątkach samolotu. Jak się okazało w toku śledztwa, jeden z żołnierzy pełniący wtedy służbę w Przesiece około godziny czwartej rano słyszał warkot przelatującego samolotu, który po około 2 minutach ucichł. Nie słyszał on detonacji ani żadnego innego dźwięku, który

Miał przy sobie dokumenty i zeszyt z notatkami. Ostatnim członkiem załogi był Rudolf Szymański ps. „Marek”, ur. 18 czerwca 1922 r. w Skowierzynie pow. tarnobrzeski. Znaleziono przy nim: dokumenty, notes, zaświadczenie weryfikacyjne wystawione przez Komisję Weryfikacyjną Okręgu Krakowskiego, miniaturki: Krzyża Walecznych, Brązowego Krzyża Zasługi z Mieczami, krzyż, różaniec oraz legitymację PSL wystawioną w Gdańsku. Według funkcjonariuszy UB podane pseudonimy braci Szymańskich odnoszą się do ich działalności w AK, na co wskazywać miały także posiadane przez nich odznaczenia wojskowe.

Według Komisji Ministerstwa Komunikacji, która badała wrak dwupłatowca 4 grudnia 1946 r., bezpośrednią przyczyną tragicznego wypadku była nieumiejętność prowadzenia maszyny, brak oświetlenia zegarów i urządzeń pokładowych, nadmierne obciążenie, co przy

jednoczesnym natrafieniu na wiry powietrzne skończyło się katastrofą lotniczą.

Śledztwo prowadzone przez PUBP w Jeleniej Górze, a nadzorowane przez wrocławski WUBP zostało umorzone 11 lutego 1947 r. wobec śmierci podejrzanych.

W tej sprawie na wyjaśnienie czeka kilka wątków. Po pierwsze, w przesłuchaniach świadków, m.in. T. Studenckiego, instruktora pilotażu, występuje imię i nazwisko Marek Szymański. Według śledczych był to pseudonim z AK Rudolfa Szymańskiego. Wymienione w aktach odznaczenia wojskowe explicite wskazywały na środowisko pochodzenia uciekinierów i motywy ich ucieczki. Interesujące byłoby ustalenie (dziś już raczej niemożliwe), co znajdowało się w notesach braci Szymańskich i czy wykorzystano je w toku działań operacyjnych. Stwierdzenie o nieumiejętności pilotażu nie pokrywa się z prawdą, gdyż Alfred Szymański posiadał świadectwo Cywilnej Szkoły Pilotów i Mechaników Ministerstwa Komunikacji o nr. 156. Latać zatem umiał, podobnie jak jego brat Rudolf.

Do dziś nie udało się także wyjaśnić, kim była piąta osoba biorąca udział w porwaniu samolotu, która opuściła lotnisko godzinę po jego starcie. Choć w postanowieniu o umorzeniu śledztwa wspomina się o kontynuowaniu poszukiwań piątego z porywaczy, to brak danych o powodzeniu tych działań. Ponadto w sporządzonej w 1974 r. charakterystyce tego zdarzenia mówi się tylko o czterech osobach, które uprowadziły samolot. Zastanawiające jest, że tak spektakularne wydarzenie nie

spowodowało szerzej zakrojonych działań UB zmierzających do wykrucia nie tylko piątego sprawcy, ale również osób, które być może pomagały załodze w ucieczce.

Odpowiedzią na ostatnie pytanie może być stwierdzenie, że podjęta próba ucieczki w ten brawurowy sposób była władzom tym bardziej nie na rękę, gdyż zachęcała kolejnych śmiałków do ucieczek tą drogą. Nadano jej charakter bandycki, sprawców utożsamiano z „reakcyjnym podziemiem”, lecz za wszelką cenę nie chciano, aby sprawa została nagłośniona wśród lokalnej społeczności. Dlatego liczba świadków ograniczyła się tylko do osób mających bezpośredni związek z poszukiwanymi oraz biorącymi udział w zdarzeniu. Inne pytanie skłania do poszukiwania osób, które postawiły czterem śmiałkom grób wraz z krzyżem. Z całą pewnością można założyć, że nie byli to funkcjonariusze prosovietkich służb specjalnych ani żołnierze WOP.

Wojskowej Akademii Medycznej. Ich spieniężeniem miało zająć się szefostwo WSW przy wykorzystaniu metod operacyjnych. Desygnowano mjr. Jerzego Liwskiego, który w momencie konieczności ujawnienia źródła pochodzenia zbioru miał informować o proweniencji prywatnej.

Pierwszą transzę, czyli 89 srebrnych monet, 30 czerwca 1983 r. przekazano Muzeum Narodowemu we Wrocławiu. Drugą, czyli 760 sztuk srebrnych monet (w tym część uszkodzonych), sprzedano w kraju za 669 600 złotych oraz 60,2 bonów PKO. Tę kwotę rozdysponowano następująco:

- 669 600 zł przekazano szefostwu Służby Zdrowia Głównego Kwatermistrzostwa WP i spożytkowano na zakup sprzętu medycznego;

- 60,2 bonów PKO przeznaczono na cele operacyjne szefostwa WSW – był to zakup niezbędnych sprzętów w pracy, głównie produkcji zachodniej, a mianowicie błon do polaroidów, baterii do aparatów fotograficznych, miniaturowych magnetofonów i innych urządzeń itp.

W marcu 1984 r. wyselekcjonowano siedem monet złotych oraz 21 monet srebrnych (o wartości ok. 340 tys. zł), które za pośrednictwem Zarządu II Sztabu Generalnego WP przesłano do Wiednia, aby je sprzedać na tamtym rynku numizmatycznym. Sprzedano je za 30 tys. szylingów (równowartość 1500 dolarów USA, co równe było zaledwie 1/3 ceny szacunkowej, jaką ustalono podczas pracy komisji szacunkowej). Pieniądze te przekazano na potrzeby operacyjne szefostwa WSW.

W 1985 r. wyselekcjonowano kolejną partię ośmiu sztuk złotych monet oraz 15 sztuk srebrnych (o szacunkowej wartości 412 tys. zł.) i po raz kolejny próbowano sprzedać w Wiedniu. Bez powodzenia. Rynek austriacki nie chciał tego zbioru i postanowiono upłynnić go w Polsce. W 1986 r. udało się go w końcu sprzedać za 1 020 500 zł i 95 dolarów. Co ciekawe, pieniądze wpłacono i zaksięgowano na koncie szefostwa WSW dopiero w październiku 1989 r.! Kwotę w złotówkach przeznaczono na zmniejszenie wydatków operacyjnych z budżetu państwa na 1989 rok. Dolary zaś na pokrycie ochrony kontrwywiadowczej rejsu „Operacja Żagiel-90”. Ostani zbiór 49 sztuk złotych monet oraz 405 sztuk srebrnych przekazano w październiku 1990 r. do Gabinetu Numizmatycznego Zamku Królewskiego w Warszawie.

Na przełomie 1990 i 1991 roku komórka MON odpowiedzialna za kontrolę przeprowadziła śledztwo dotyczące sposobu administrowania skarbem przez WSW (WSI). W jej toku stwierdzono, że naruszono przepisy ustawy o ochronie dóbr kultury i muzeach, w myśl której wojsko nie miało prawa zajmować się tym skarbem, a co dopiero jego sprzedaż. Jaruzelski nie miał prawa decydować o jego przeznaczeniu. Niemniej nawet jego decyzje nie zostały wprowadzone w życie i podjęto działania, które nie powinny mieć miejsca i kwalifikowały się do przeprowadzenia postępowania dyscyplinarnego wobec osób odpowiedzialnych za taki sposób dysponowania skarbem. Wnioski kontroli trafiły do ministra obrony narodowej wiceadmirała Piotra Kołodziejczyka w lutym 1991 r.

Najbardziej intrygująco brzmiał ostatni punkt wniosków przedstawiony ministrowi. Warto go zacytować: „W nowych warunkach politycznych, wydaje się celowym rozważenie możliwości powrócenia do sprawy, dokończenia poszukiwań rozpoczętych w 1981 r. [...] stopień prawdopodobieństwa uwieńczenia poszukiwań powodzeniem jest bardzo duży”. Był luty 1991 roku.



Ocal historię!

Archiwum Pełne Pamięci wychodzi z założenia, że historia to nie tylko wielkie wydarzenia, dotykające całe społeczeństwo, ale także losy każdej rodziny i każdego człowieka. Bez ich poznania obraz naszej przeszłości byłby niepełny.

Rodzinne historie na dnie szafy mogą zostać zapomniane. Przekazane do Archiwum Pełnego Pamięci mają szansę żyć dalej, uzupełniać luki szerszej historii, docierać do wielu odbiorców.

Odwiedź naszą stronę
<https://archiwumpamieci.pl> i dowiedz się
więcej o projekcie Archiwum Pełne Pamięci!
Skontaktuj się z nami:
app.szczecin@ipn.gov.pl, tel. (91) 484-98-25.

